

Joanna Jagiełło

Fragment powieści „To już nie ma znaczenia”. Premiera: 30.09.2020. Wydawnictwo Zielona Sowa.

PROLOG

Niektóre chwile zmieniają wszystko. Są jak granica między przed i po. Kiedy młody mężczyzna wchodzi na barierkę na moście i skacze w dół. Kiedy kobieta wsiada do samochodu, z którego nie wyjdzie już żywa. Kiedy noworodek wydaje z siebie pierwszy krzyk. Otwarcie drzwi, naciśnięcie spustu, uderzenie.

Pierwszy krok w tańcu. Ten moment, gdy cisza zostaje przzerwana taktami muzyki, a bezruch lekkim uniesieniem stopy, nagłym przecięciem powietrza ramieniem, rozkołysaniem biodra. A potem taniec już płynie.

Dziewczyna ma na sobie prostą koszulkę i legginsy, ciemne włosy rozpuściła i przewiązała przepaską. Tańczy tak, jakby jej ciało ważyło tyle co puch, jakby unosiła się w powietrzu jak nasionka dmuchawca nad trawą. Ale on sprowadza ją na ziemię, chwytą za nadgarstki, wygina ręce, pokazując, co ma robić. Lekko przechyla ją nad podłogą, a ona czuje jego mocny uścisk i wpada w jego ramiona jak do studni. Czuje jego ciepło i tę pewność, której jej jeszcze brakuje.

Są chwile, które zmieniają wszystko.

Pocałunek.

Wędrujący nagle z policzka na wargi, jakby był osobnym, samoistnym bytem. Balonem urwanym z uwięzi, uwolnionym z sideł zwierzątkiem. Tak o nim myśli, kiedy czuje jego usta na swoich. „Stąd odwrotu nie ma już – śpiewa Upiór w jej głowie. – Sama przyszłaś tu, bo tak chciałaś. Pozwalasz na to, bo tego chcesz”.

Pocałunek schodzi niżej, zbiega. Galopuje po jej ciele jak ciepły deszcz, który jest wszędzie, na całej skórze, w tysiącu miejsc naraz. A tam, gdzie jeszcze nikt jej nie dotykał, wybucha czerwonymi iskrami przyjemności.

Dziewczyna czuje mrowienie w końcach palców. Radość i lęk jednocześnie. Tamy zostały zerwane.

Właśnie trafiła do piekła.

Kilka lat wcześniej.

Wchodzą do nowego budynku Domu Kultury. Pojedynczo, jeszcze się nie znają. Jedna nieśmiała, od razu widać, że trochę się boi, bo aż skuliła się w sobie. Raczej niska, z kitką jasnych włosów, ubrana w wyblakły T-shirt i znoszone buty. Na plecach dźwiga ciężki plecak, jest prosto po szkole. Druga idzie sprężystym krokiem, odgryzając wielkie kawały pączka z nadzieniem z budyniu i lukrem. Kilka kawałków lukru przyczepiło się do brody, a do rozczesanych w afro kręconych włosów przylgnął żółty liść. Dziewczyna sama jest pulchna jak ten pączek, ale jeszcze aż tak bardzo się tym nie przejmuje. Ta trzecia widzi jej plecy, kiedy wchodzi do budynku, i czuje burczenie w brzuchu, zauważa tego jej pączka i zupełnie nie rozumie, dlaczego nie zjadła obiadu w szkole, nie miała wtedy ochoty, a teraz żałuje. Ma włosy obcięte na garnek i plecak, do którego poprzyczepiała metalowe przypinki z różnymi napisami i emotikonami. Ostatnia wpada lekko spóźniona. Ładny czerwony sweterek, na którym lśnią rozpuszczone ciemne włosy, spódniczka w kratkę odsłaniająca długie, szczupłe nogi w białych rajstopach i lakierki – wygląda jak dziewczynka z dobrego domu. Ogląda się jeszcze za siebie, jej włosy w tym ruchu falują jak wodorosty, a potem magicznie wracają na swoje miejsce. Dziewczyna patrzy na zegarek, marszczy brwi i mocno pcha przeszklone drzwi, przez które wpada przyjemne, ciepłe światło.

Szkoda, że wtedy nikt nie zrobił im zdjęcia, ani przed drzwiami Domu Kultury, ani w środku, kiedy ubrane w stroje gimnastyczne przyglądały się po raz pierwszy, jak przystojny mężczyzna o hiszpańskiej urodzie pokazuje im elementy choreografii, i gdy potem nieśmiało powtarzały je za nim, w tym pierwszym, jeszcze niespecjalnie udanym tańcu. Szkoda, że tego pierwszego zdjęcia nie ma, że ta scena zachowała się tylko w ich pamięci.

Jest za to ostatnie.

Wtedy.

To ostatnia fotografia, na której są wszystkie cztery. Andżelika, dla przyjaciółek: Aniela. Jasnowłosa, z nich wszystkich najdrobniejsza. Ledwo metr pięćdziesiąt pięć i boi się, że już nie urośnie. Często żartują, że na wybiegi nie ma szans, ale na siedząco mogłaby pozować do zdjęć. Albo na leżąco. Aniela się wtedy obraża, ale wszystkie cztery wiedzą, że obok niej żaden mężczyzna, niezależnie od wieku, nie przejdzie obojętnie, bo Aniela oprócz

włosów w kolorze białego bursztynu ma wielkie brązowe oczy i piersi, do których kupuje staniki w rozmiarze D. Tak urosły w ciągu ostatniego roku i dziewczyna nie bardzo wie, co ma z tym zrobić, ale stara się nie martwić. W końcu chłopcom podobają się takie piersi. Zresztą ma inne zmartwienia.

Dalej jest Jagoda. Na wakacje pofarbowała sobie pasemka brązowych włosów na niebiesko, zawsze też nosi ostry makijaż, a szczególnie teraz, kiedy nikt się do tego nie przyczepia. Na obu powiekach ma turkusowy cień, usta w kolorze śliwki, a w jednym uchu aż cztery kolczyki. Tylko ona ma na sobie sukienkę, krótką i czarną, do tego założyła fioletowe wysokie trampki. Pozostałe dziewczyny są w dżinsach, T-shirtach i adidasach.

Ida, która stoi pierwsza od prawej, nie ma w szafie żadnej sukienki. Bałaby się wygłupić. Jest mocno przy kości i maskuje tuszę luźniejszym niż u innych czarnym T-shirtem. Ale to ona ciągle naciska, żeby robić zdjęcia, mimo że oprócz pełnej figury ma na zębach aparat korekcyjny, którego trochę się wstydzi. I teraz to ona ustawia je do tego selfie i pstryka, a w kadrze widać kawałek jej wyciągniętego ramienia.

Na tym ostatnim zdjęciu wszystkie się uśmiechają, ale nie Miriam.

Stoi pierwsza od lewej, ale między nią a przyciśniętymi mocno do siebie Anielą, Jagodą i Idą jest lekki odstęp. Jakby nie chciała być z nimi tak naprawdę.

Z nich czterech tylko ona ma postawę tancerki. Wyprostowane plecy, mocny, wciągnięty brzuch, jedna noga przed drugą, cofnięte biodra. Jest wypięta jak struna. Wygląda może nie na smutną, ale trochę obrażoną. Pełne usta pociągnięte bezbarwnym błyszczakiem lekko wyduła, a oczy przymrużyła, ale nie od słońca, było przecież pochmurno, i dlatego zdjęcie wydaje się lekko nieostre albo przyszarzałe.

Miriam się nie maluje.

Nie malowała?

Trudno teraz, po tym wszystkim, znaleźć odpowiedni czas gramatyczny.

W każdym razie... Nie maluje się, bo nie musi. Ma ciemną oprawę oczu, długie rzęsy i wzniesione ku górze gęste brwi jakby czarne skrzydła. Już dawno dała sobie spokój i przestała je regulować, śmiała się, że to jak walka z wiatrakami. Kiedy jeszcze się śmiała. Teraz rzadko się uśmiecha. Wiatr lekko rozwiewa jej ciemne, równo przycięte włosy. Kilka kosmyków wychodzi poza kadr.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dom stoi na uboczu, pod lasem. Pojedynczy, samotny. O tej porze roku przypomina człowieka, który korzystając z dobrej jeszcze pogody, wybrał się na wycieczkę i zgubił drogę. Zza wysokiego przypominającego mur cmentarny ogrodzenia niezbyt wiele widać: ot, dach z ciemnobrązowych dachówek, kawałek beżowej elewacji, małe okno na piętrze. Ale też niespecjalnie byłoby na co patrzeć. Dom okala pas lekko pożółkłej już trawy i nie ma tam nic więcej: ani drzew owocowych, ani krzewów agrestu czy malin, ani ogródka warzywnego. Tylko skromna ławeczka przy wejściu, na której nikt nie siada albo ze względu na porę roku, albo z innego powodu.

Jest pusto i cicho. Od kilku tygodni zasłony są zawsze zaciągnięte. Można by pomyśleć, że gruby, puszysty materiał chroni mieszkańców przed upałem, gdyby nie to, że pogoda się popsuła. Temperatura spadła o całe dziesięć stopni, a na niebie pojawiły się czarne chmury. Może ten ktoś zapomniał odsłonić okno i wpuścić choć trochę światła? A może po prostu wyjechał i woli, żeby pod jego nieobecność nikt nie zaglądał przez szyby? Duży plazmowy telewizor, antyki, wiszące na ścianach obrazy i stojące na kominku rzeźby mogłyby skusić złodzieja. Tyle że gdyby nawet przesadził kamienny parkan, raczej trudno byłoby mu poradzić sobie z potrójnym systemem ochrony przeciwwłamaniowej i uważnymi oczami kamery monitoringu. Złodzieje z daleka omijają ten dom, nie mają tu czego szukać. A jednak właściciel pokusił się o zasłonięcie okien. Może po prostu chroni swoją prywatność.

Wysoki mężczyzna ubrany w garnitur i białą koszulę wsiada teraz do dużej białej furgonetki i wyjeżdża z garażu. Brama zamyka się automatycznie. Mężczyzna ogląda się za siebie i zastanawia, na ile jest bezpieczny. Ten dom to twierdza, ale w każdej twierdzy są słabe punkty. Każdą można pokonać, a czas jest nie sprzymierzeńcem, lecz wrogiem. Mężczyzna myśli, że musi się pośpieszyć. To nie może przecież trwać w nieskończoność. Trzeba coś z tym zrobić. Czuje się jak w pułapce. Nie tak to zaplanował. Pora na plan B. Zresztą nie po raz pierwszy w życiu musi zmieniać plany. Życie tego przede wszystkim go nauczyło.

Włącza radio i postanawia zatankować. Nie musi się spieszyć, rozmowę z klientem ma dopiero za godzinę. Biznes prosperuje świetnie. Miał nosa, żeby iść w te ciuchy. Ludzie cały czas pragną nowych ubrań, a szczególnie kobiety. Oczywiście on nic z tej chińszczyzny nie nosi, stać go na znacznie lepsze rzeczy, ale kobiety chętnie kupują niedrogie sweterki czy

sukienki, które dosłownie zalewają małe butiki w przejściach podziemnych przy dworcach kolejowych. Każdy sklep nazywa się inaczej, ale we wszystkich jest to samo.

Dźwięki dobiegające z radia samochodowego irytują go. Znowu te reklamy, ile można, niedługo w ogóle nie będzie można słuchać radia, chyba że nocą, wtedy tego chłamu prawie nie ma. Tyle że wtedy on zajmuje się innymi rzeczami. Przez chwilę wspomina dzisiejszą noc, wczorajszy wieczór i robi mu się różniej na duchu. No dobrze, mogą wyniknąć z tego kłopoty, ale przecież warto, naprawdę warto. To jest to szczęście, którego tak długo szukał.

W radiu zaczynają się wiadomości.

„Jest drugi września, godzina dziewiąta. Dziś naukę w liceach zaczyna podwójny rocznik. Uczniowie po szkole podstawowej pójdą do czteroletniego liceum, a uczniowie po gimnazjum do liceum trzyletniego. Reforma edukacji dla podwójnego rocznika może oznaczać przepełnione szkoły, naukę na dwie zmiany, chaos...”.

Na chwilę przestaje słuchać, patrzy przez okno. Chmury nad horyzontem przypominają rozczochrane teriery. Chyba będzie padać. I wtedy to słyszy. Zdania skutecznie przebijają się przez barierę jego zamyślenia.

„Nie zacznie dziś nauki warszawska piętnastolatka Miriam Pert, której nadal szuka policja. Przypomnijmy, że dziewczyna zaginęła piętnastego lipca tego roku i mimo intensywnych poszukiwań nadal nie została odnaleziona”.

Mężczyzna wyłącza radio, próbuje uspokoić trzęsące się na kierownicy dłonie i skupić się na drodze. Włącza CD, to Brahms, ale nie pomaga. Cholera, w co on się wpakował.